

ODWET.

Strącona lampa elektryczna nie zgasła. Leży na dywanie, między przewróconem krzesłem, a ciężką kanapą, ruszoną z miejsca. Szeroki szkarłatny abażur ochronił żarówkę i elegancki postument wygląda, jak gdyby skapany w kałuży krwi.

W purpurowym świetle, ścielącym się na posadzce, Marceli widzi zastygłe w przeżeniu oblicze swej ofiary.

Z okrutnym grymasem w podniesionych wargach zbrodniarz pochyla się nad zmarzniętą twarzą, wyglądającą w czerwonym świetle jak diabelska wizja upiorna.

Skażone rysy wyrażają okropną trwoję i cierpienie; pod brodą na woskowej szyi widnieją rozwarła rana, olejkająca ostatnimi krwawymi łzami. Podobna do polipa, wydłużającego zwolna swe macki, ciemna plama, brukając dywan, rozlewa się wąskimi strugami. Marceli patrzy na swój nóż; stałowa jego okładzina czerwieni się od krwi. Z dziką rozkoszą morderca wyciera swą broń o ubranie zabitego i błyszczącym, nieruchomym wzrokiem wpatruje się w rozciągnięte u nóg jego zwłoki. Czy morduje dla ograbienia, czy — głównie — dla dzikiej radości na widok życia, zamierającego pod jego ręką?... Myśli, zamykając nóż. Jedno jest pewne, że jęk bólu lub rzeźnięcie agonii upaja go do utraty przytomności niemal. Nigdy jeszcze nie usiłował uniknąć morderstwa, przeciwnie!

Dziś wieczorem naprzykład nic go nie zmuszało do zabójstwa. Włamawszy się do willi, którą zamierzał ograżyć, szybko znalazł małą kasę ogniowatwą, ukrytą w kącie jednego z pokoi. Manewrując zręcznie drobnymi narzędziami, otworzył ją z łatwością i, wypchawszy kieszenie, mógł wymknąć się natychmiast z łupem, gdyby nie zły duch, który w nim siedzi. Macając gorączkowo rękojeść swego sztyletu, z kłiwym smakiem krwi w ustach, wszedł na piętro i minawszy szereg pokoi, znalazł się za plecami pochylonego nad biurkiem mężczyzny. Skupiony, z drgającymi nozdrzami, długo stał nieruchomy, pochłaniając oczami człowieka, któremu miał za chwilę odebrać życie. Poczem skok zwierzęcy, krótka walka, błyskawiczny ruch prawej dłoni, przedłużonej błyszczącym ostrzem i ciężki upadek ciała.

Oddychając krótko, Marceli odrywa się wreszcie od swych dzikich myśli. W chwili, kiedy zamierza odejść, dostaje silny cios w głowę. Z uczuciem zapadania się w ciemność, przerywaną oślepiającymi błyskawicami runął na ziemię obok swej ofiary.

Odzyskawszy przytomność, zacina zęby, ażeby powstrzymać jęk. Ma wrażenie, jak gdyby jego obolała głowa była w żelaznej obręczy. Otwiera oczy: pokój jest w porządku. Mężczyzna, zwrócony doń plecami, kłęczy, nieruchomy, jak posąg. Czoło jego oparte jest o ramię umarłego, wyciągnięte na kanapie.

Marceli, chcąc wykorzystać chwilę, robi ruch i, znowu tłumi okrzyk, widząc, że jest

mocno skrępowany i nie może się ruszyć. Z zimną krwią myśli:

— Tym razem przypadłem! Facet, który mnie związał, rozprawi się ze mną. Zdaje się, że godzina moja wybiła. Ha, trudno! Na mnie kolej teraz!...

Bez drżenia, z niezmaconym wzrokiem czeka.

Po długiej chwili, mężczyzna, czatujący z ukosa, wstawszy, zbliża się. Błada jego twarz jest kamienna, tak, że Marceli nic nie może wyczytać z twardego jego skrępyłych rysów. Chcąc za wszelką cenę przerwać ciążące mu, mimo wszystko, milczenie, morderca mówi prawie że obojętnym głosem:

— Zdaje się, że nie pozostaje już panu nic innego, jak wydać paczkę.

Krótką, telefoniczną rozmową z policją, a kochani żandarmi przybędą i zabiorą mnie zakrytym powozem do miłutkiego mieszkanka...

— Nie — przerwał mężczyzna bezbarwnym tonem — zdecydowałem inaczej i winszuję sobie, patrząc na twoje zachowanie. Gilotyna? Cóż to jest? Mniej niż nic. Znikoma chwila trwogi, coś w rodzaju aureoli dla takiej krwiożerczej bestji, jak ty, Drwisz sobie z niej, a kto wie, dumny może jesteś z takiego końca. Nie, nie wydam cię policji.

— Doskonale — mruknął Marceli obojętnie — proszę rozwiązać mnie wobec tego. Wolę odejść natychmiast.

Wzrok, którym go mierzą, jest tak pełen groźby, że bandyta milknie, zdławiony głuchym niepokojem. Dzika jego natura buntuje się jednak i mówi dalej wyzywająco:

— Proszę tylko nie próbować przestraszyć mnie. Szkoda czasu. Cokolwiek pan zrobisz, kpię sobie z tego. Myślisz, że boję się śmierci? Prędeż, pomścij pan tego, kogo zabiłem; zaduś mnie, zastrzel, przebij nożem — wszystko jedno, nie wyrwiesz mi z ust ani jęku, ani błagalnej prośby.

Tamten, wzruszywszy ramionami, wziął bez słowa bandytę na plecy. Zszedł z nim na parter, poczem kamiennymi krętymi schodami do głębokich suteryn. Po nieskończenie długim marszu, zrzucił swój ciężar w kącie malej, hermetycznie zamkniętej piwniczki. Elektryczna lampa u sufitu oświeca ją mętym blaskiem. Mężczyzna nachyla się nad więźniem i zdejmując zeń pęta.

— Słuchaj dobrze, nędzniku nikczemny!

— zabiję cię bez litości, boś mi zamordował brata. Ale ty nie boisz się śmierci podobno. Wierzę ci. Masz zresztą słusność, śmierć jest niczem, straszne są tylko niekiedy godziny, poprzedzające ją... W tym oto kącie znajdziesz nieco żywności, napoju jednak ani kropli. Radź sobie, jak chcesz, abyś nie miał zbyt wielkiego pragnienia. Więzy twoje są rozluźnione; będziesz się mógł łatwo uwolnić od nich po moim odejściu. Ponieważ nie chcę mścić się morderstwem za morderstwo, zostawiam ci nabity rewolwer, ażebyś mógł bronić się. Nie czatuj jednak napróżno przy tych drzwiach, które zaryglują za sobą, nie

tędy bowiem przyjdę. Jest drugie wyjście; daremnie byś szukał go wszakże. Czuwaj więc i broń swej skóry.

Powiedziawszy to, odwraca się i wychodzi. Głuche zatrzaśnięcie drzwi, zgrzyt zamka i... cisza.

Kilkoma silnymi ruchami rąk Marceli zrzuca z siebie powrozy i staje na nogi w groźnej postawie, z rewolwerem w garści.

— Ośle — śmieje się szyderczo — A toś mi dogodził! Chodźże, chodź! Czekam cię!... Kiedy wpakuję ci kulę w brzuch twoje osławione wyjście wyprowadzi mnie na wolność!

Nagle śmiech zamiera mu w gardle: jak gdyby niewidzialną ręką zgaszona lampka przestaje świecić i ciemności ogarniają bandytę.

Marceli wlokąc się po macaku, znajduje nieco żywności. Silne pragnienie pali go i gorączką pulsują mu arterje. Ile już czasu czuwa w tej zimnej piwnicy, jak grób milczącej! Ma wrażenie, jak gdyby od wielu dni tkwił w tych ciemnościach, smołą lgnących mu do ciała. Trzykrotnie już zda wało mu się, że ktoś jest przy nim; to powstać upiorna przed rozszerzonymi jego źrenicami stawała się ciałem. Trzykrotnie już krótki błysk rewolweru, z którym nie rozstaje się, rozdarł ciemności. Marceli czuje śmiertelną trwoję, czając się tuż przy nim. Cierpliwie czeka, aż wybije godzina. Od czasu do czasu wkłada się podstępnie do jego duszy. Dygocąc pod jej lodowatym tchnieniem, Marceli strząsa ją z siebie gwałtownym ruchem.

Jest to walka nieustająca, nieubłagana i bandyta z czołem wilgotnym od potu, z sercem bijącym, wie dobrze, że ona, trwoja, zwycięży.

Godziny za godzinami mijają. Marceli leży na ziemi, dysząc ciężko. W ataku szaleńcu, rzucił się był, wyjąc, przed chwilą na mur piwniczny; wyczuwszy drzwi pod rękami, walił w nie ze wszystkich sił, zdzierając sobie paznokcie o ciężkie drzwi dębowe. Wyczerpany, walczy teraz z ogarniającym go snem. Kilkakrotnie już uległ był znużeniu i budził się, charcząc pod okropnym wrażeniem, że stalowe ostrze noża przecina mu szyję, napelniając krwią usta. Dwa razy jeszcze strzelił, myśląc, że ktoś nachyla się, trzymając broń nad nim.

— Jedna kula pozostaje mi tylko! — szepcze ochryplym głosem!

Lampa zapala się, drzwi odmykają... Mężczyzna wchodzi i pochyla się nad Marcelim, leżącym na ziemi z przebitą głową. Bładością śmierci pokryta twarz trupa ma wyraz bezmiernej trwoji; włosy zlepione na czole lodowatym potem. Oczy, oczy szczególnie są przerażająco straszne: marnie rozszerzone mówią o całej groźbie ostatnich chwil.

— Kara odwetu! — szepcze mężczyzna przez zaciśnięte zęby.

Poczem wychodzi, zamykając drzwi grobowca.

Tłum. Jotsaw.



Roł VI

Niedziela, dnia 29 września 1929 r.

Nr. 39.

„Tydzień Strażaka” w Łodzi”.



W dniu 22 b. m. rozpoczął się w Łodzi „Tydzień Strażaka” kwęsta publiczną, z której dochód przeznaczono na rzecz skromnych funduszów, nie wystarczających, jak dotąd, na utrzymanie tej humanitarnej placówki. Na zdjęciu powyższem widzimy strażaków-kwęstarzy zawsze rzetelnie spełniających swe obowiązki. Fot. A. Meyer.

TEATRALJA.

Plany i zamiary. — Otwarcie sezonu. — Drugi jubileusz — „Sto lat „Teatru Narodowego“. — Drobiazgi teatralne.

Jak to zwykle bywa, z rozpoczęciem nowego sezonu teatralnego, ze strony wszystkich dyrekcji sypią się obietnice i zapowiedzi jak z rogu obfitości. Rzadko się oczywiście zdarzyło, by rzeczywistość w całości potwierdziła zobowiązania dyrekcji teatrów, by wszystkie ich plany i zamiary mogły być przeprowadzone. Dlatego też zamierzenia te traktować należy w charakterze programu ramowego, jako wytknięcie pewnych zasadniczych linii repertuarowych, od których odchylenia jakościowe i ilościowe są, z natury rzeczy, sprawą zwykłą, normalną i dopuszczalną. W każdym bądź razie zapoznanie się z temi ogólnymi programami działalności teatrów polskich jest równie pożyteczne i ciekawe. Da się bowiem w ten sposób ustalić poziom i rodzaj zainteresowań kierownictwa danego teatru, co znowu daje pewien wgląd w upodobania odwiedzającej go publiczności. Suma zaś tych informacji pozwoli na powzięcie opinii o rozwoju czy też upadku sztuki teatralnej w danym okresie czasu, to zaś z kolei staje się cennym nierzadko przyczynkiem dla przyszłego historyka i badacza.

Pierwsze miejsce w tym przeglądzie repertuarowym zająć musi oczywiście Teatr Narodowy, który pozyskał w sezonie bieżący m. in. tak wybitną artystkę jak p. Irenę Sołską. Pod poprzednią dyrekcją p. E. Chaberskiego i pod literacką opieką dr. Zawistowskiego, Teatr Narodowy przygotowuje kolejno do wystawienia: „Niespodziankę“ — Rostworowskiego (z Broniszówną w roli głównej), „Konfederatów Barskich“ — Mickiewicza (ku uczczeniu 150-lecia zgonu Kazimierza Pułaskiego), „Legion“ — Wyspiańskiego, nową sztukę St. Miłaszewskiego — „Pan w obłokach“, debiut autorski Stanisławy Przybyszewskiej — „Sprawę Dantona“, nową komedię J. Szaniawskiego, wznowienie jednej ze sztuk Rittnera; z polskiego repertuaru retrospektywnego: „Odprawę posłów greckich“, „Sobótkę“ — Kochanowskiego (ku uczczeniu 400-lecia jego zgonu), „Pana Geldhaba“ i „Pana Beneta“ — Fredry, być może również „Podziemia weneckie“ — Krasńskiego; z klasycznego repertuaru obcego: „Ryszard III — Szekspira, „Życie jest snem“ — Calderona, „Don Carlos“ — Schillera, „Sakuntala“ — Kalidasy, „Bachantki“ — Eurypidesa; ze współczesnych autorów obcych brane są pod uwagę: „Ogień niebieski“ — P. Dominique'a, „Egzaltacja“ — Schneidra, „Magja“ — G. K. Chestertona, „Koniec wędrówki“ — R. C. Sheriffa, „Cesarzyk amerykański“ — Shawa „Glanco“ — Morselli'ego, „Obywatele“ — z Calais — Kaisera i „Z życia owadów“ Czapeka.

Na małej scenie w salach rezerwowych (Teatr Nowy) mają być w sezonie 1929/30 wystawione: „Dr. Hieronim“ — St. Szpotafskiego, „Anna Christie“ — O'Neilla, „Kochankowie z Werony“ — J. Iwaszkie-



Pierwsze dni jesieni w parku 3-go Maja w Łodzi. Fot. A. Meyer.

wicza, „Genjusz z urojenia“ — Z. Zaleskiego, „Powrót Odyssa“ — Wyspiańskiego, „Dom złamanych serc“ — Shawa i „Djana i Tuda“ — Pirandella.

Trzeci wreszcie z teatrów dramatycznych miejskich projektuje zaprezentować: „Wywczaszy Don Juana“ — K. Wroczyńskiego, „Maman do wzięcia“ — Grzymały-Siedleckiego, „Fryzjer damski“ — Armon-ta i Gerbidona, „Książę-małżonek“ — Xan-rofa i Chancela, „Jej mąż“ — Gerald'ego „L'attachee“ — Miramde'a i parę jeszcze utworów komedjowych polskich, których tytuły nie zostały dotąd definitywnie ustalone.

Nowy rok teatralny rozpoczęto już we wszystkich miastach polskich, posiadających teatry stałe. W Katowicach, gdzie kierownictwo przeszło obecnie w ręce dyr. Szpakiewicza na inaugurację odegra-no „Złotą Czaszkę“ — Słowackiego, przygotowaną pod każdym względem bardzo pomysłowo i starannie. W Lublinie teatr tamtejszy pod dyrekcją J. Grodnickiego rozpoczął sezon „Spazmami modnymi“ — W. Bogusławskiego. Po raz pierwszy otrzyma w bież. roku stały teatr — Stanisławów, gdzie już przygotowano odpowiedni gmach, wyposażając go w dobre i współczesne urządzenia techniczne. Na pierwsze przedstawienie pójda „Damy i huzary“ (6 października). Zespół „Reduty“ wileńskiej, jak wiadomo, zrezygnował na rok bieżący ze stałej placówki na Pohulance, na rzecz p. Zelwerowicza i częściowo rozproszył się po innych teatrach. Pozostali członkowie „Reduty“ utworzą teatr objazdowy dla kresów, kontynuując tę imprezę wzorem lat poprzednich. Poza tem dyr. Osterwa prowadzi będzie t. zw. instytut teatralny o charakterze studjum, a sztuki przygotowane przez instytut, wystawione będą prawdopodobnie w pałacu

reprezentacyjnym dla zaproszonej publiczności.

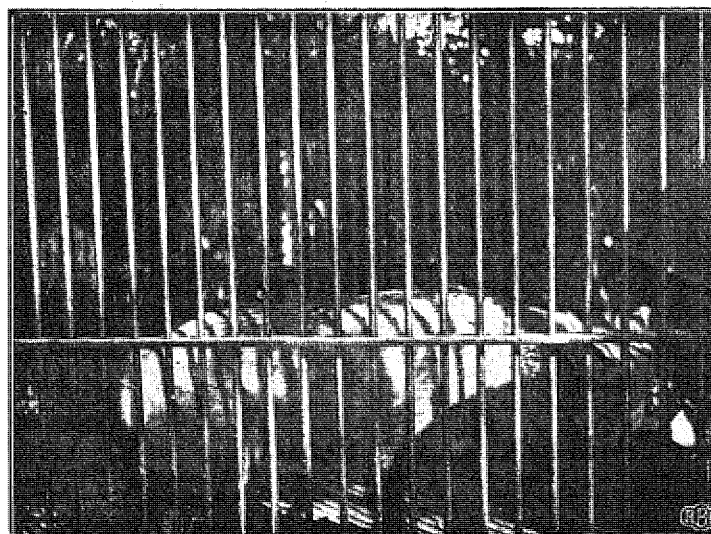
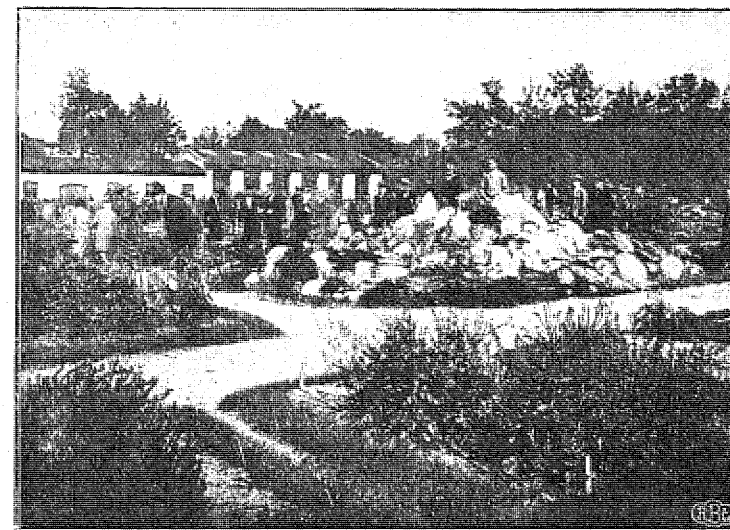
Niewielu z pośród aktorów dane jest w dwóch miastach, na dwóch scenach święcić jubileusz pracy dla sztuki. Tego rzadkiego a zasłużonego zaszczytu dostąpiła świetna artystka charakterystyczna Zofja Czaplińska, znana publiczności warszawskiej z teatrów szymonowskich. O jej święcie jubileuszowym na scenie Teatru Polskiego pisaliśmy w swoim czasie, podnosząc zasługi jubilatki i gorące hołdy, składane jej przez publiczność. Obecnie zaś Lwów, który był szkołą talentu p. Czaplińskiej i miejscem jej długoletniej pracy uczcił artystkę ponownym przedstawieniem uroczystym, urządzonym w dowód szczególnego dla niej uznania i sympatii. Wystawiono „Ladną historję“ de Flersa i Caillaveta, w której solenizantka ma jedną z swych najpiękniejszych i najlepszych ról. Nie potrzeba dodawać, że Lwów tak samo, albo może więcej jeszcze, niż Warszawa przyjął czcigodną jubilatkę z oznakami należnego jej uznania i wdzięczności za czystą, wierną i ofiarną służbę na chwałę i pożytek sceny polskiej. Obok znakomitej w roli „Babci“ — jubilatki, wystąpili w rolach głównych pp. Węgierko i Z. Barwińska.

W tych dniach minęło 100 lat istnienia teatru, zwanego od niedawna „Narodowym“, przez dziesięciolecie zaś noszącego znane wszystkim w Polsce miano „Teatru Rozmaitości“. Teatr ten, otwarty w dniu 11.IX 1829 r., powołany został do życia przez artystów ówczesnej sceny stołecznej i mieścił się początkowo w salach Tow. Dobroczynności na Krak. Przedmieściu.

Delta.



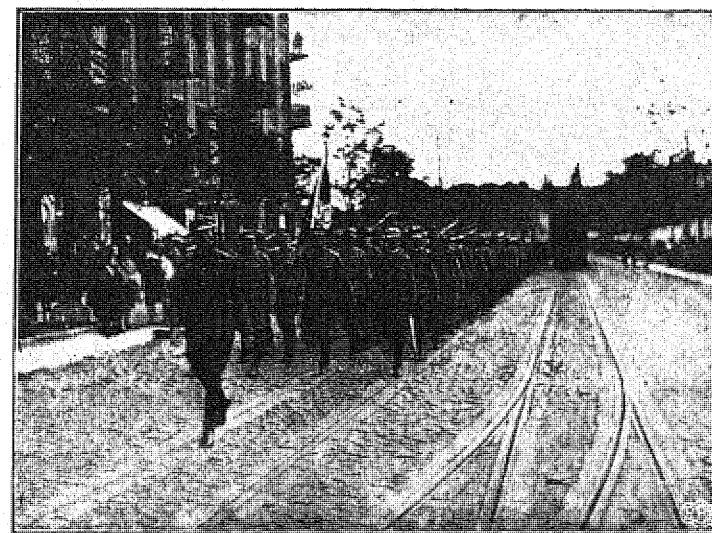
Wycieczka członków Towarzystwa Przyrodniczego im. Staszycy w Łodzi w ogrodzie botanicznym w parku „Źródlińska“. Na zdjęciach powyższych widzimy od strony lewej uczestników wycieczki z prezesem Tow. p. Potęgą na czele, na prawo zaś fragment z ogrodu botanicznego.



Zaczątek przyszłego ogrodu zoologicznego w Łodzi. Jedyna bestja — wilk w ogrodzie zoologicznym.



Zjazd członków Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej żeńskiej w Poznaniu, w którym wzięła udział również delegacja Stowarzyszenia P. M. z Łodzi. Powyżej liczne delegacje młodzieży przed katedrą poznańską.

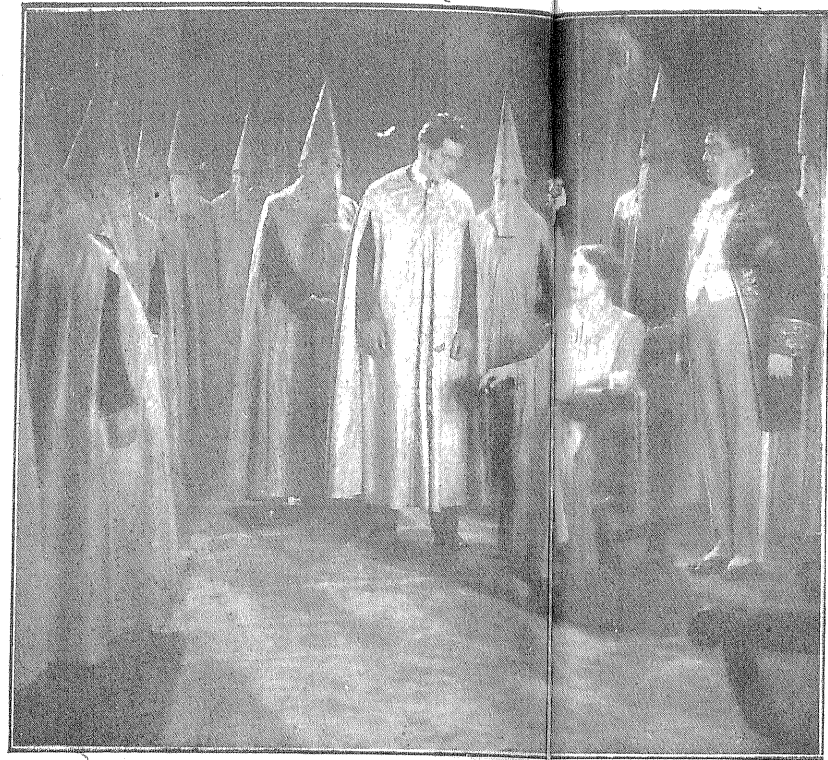


Po długich i męczących marszach powróciła do Łodzi z odbytych manewrów letnich 10-ta dywizja piechoty. Na zdjęciach widzimy od strony lewej powracającą ulicami Łodzi piechotę, na prawo — korpus oficerski. Fot. A. Meyer.





George K. Arthur w filmach „Najparadniejsza parada” i „Związek Trzech”



Tajemniczy moment z interesującego filmu. Z ryciny powyższej bije przerażająca nastrojowość. Obraz ten jest tylko arcywielką komedią p. n. „Miłość w pociągu”.



Jeden z uzdolnionych artystów filmowych, Nils Asther, jest partnerem Greta Garbo w filmie p. t. „Władczyni miłości” i „Dzika Orchidea”.



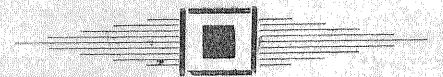
Artysta filmowy Richard Barthelmex, który kreował rolę bohatera w filmie p. n. „Miłość w ogniu”.



Dorothy Mackaill jest partnerem Miltona w filmach p. n. „Jego niewolnica” i „Wywoływacz”.



Gwiazda ekranu, Greta Garbo, w swej najnowszej kreacji filmowej p. n. „Dzika Orchidea”.



Fr. Fleminger, dyrektor oddziału „Foxa” na Polskę.



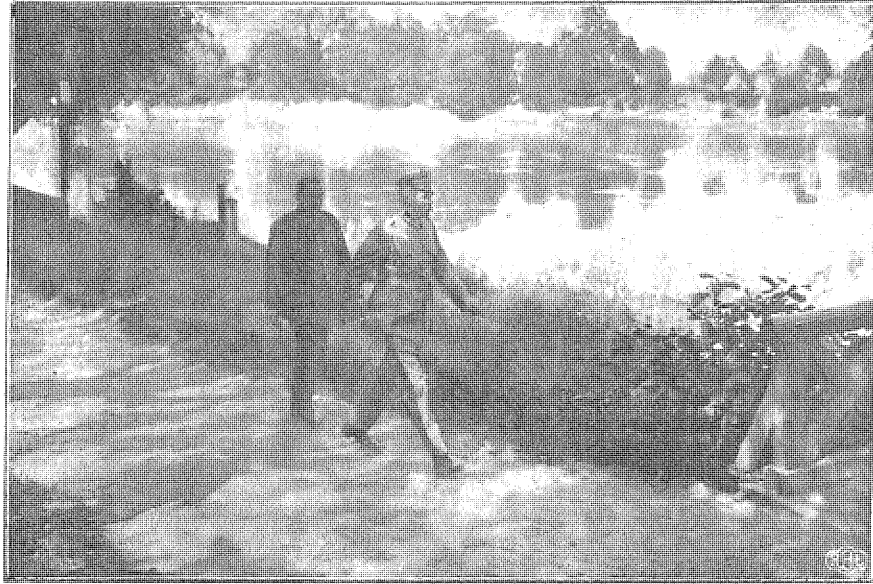
Clara Bow, wesołek ekranu.



Richard Dix. Artysta filmowy

Marja Gorczyńska i Lucjan Żurawski w filmie polskim „Z dnia na dzień”.

Z okazji „Tygodnia Strażaka”.



Z pobytu Marszałka Józefa Piłsudskiego w Druskiennikach. Obok Marszałka postępuje lekarz płk. Wojcicki.



Prof. Br. Olecka, śpiewaczka operowa, członek Związku Artystów Scen Polskich, wybitna i ceniona artystka oraz kierowniczka kursów śpiewu solowego.



Fragment z filmu p. n. „Arka Noego” wyświetlanego przez kino-teatr „Luna” w Łodzi.



Grupa uczestniczek kolonii letnich dla druchien Stow. Młodzieży Polskiej w Rzgowie. Fot. A. Meyer.



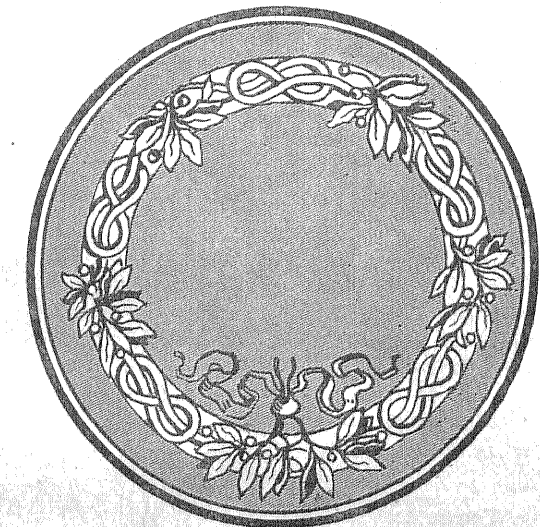
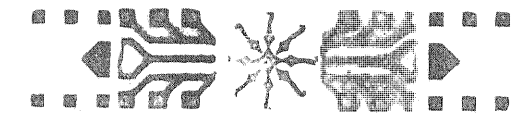
Fragment z „Bolesława Śmiałego”.



Łódzka Straż Ogniowa Ochotnicza posiada za sobą piękną przeszłość, o której niechaj świadczą dyplomy i odznaczenia, zdobyte za wybitną sprawność, okazaną w dziedzinie ratownictwa. Zdjęcie powyższe przedstawia dyplom do złotego medalu, uzyskanego za ćwiczenia strażackie na międzynarodowych zawodach w Turynie w roku 1928.



Medal złoty nadany Łódzkiej Straży Ogniowej w Turynie.



Odwrotna strona tegoż medalu.



Medal srebrny Łódzkiej Straży Ogniowej Ochotniczej otrzymany w Turynie.



Medal srebrny widziany po stronie odwrotnej.

HAŁAS.

W dużym pokoju, płomień lampki nocnej migotał sennie w takt głośniego chrapania, rozlegającego się w ciszy nocnej.

Przed żarzącym się ogniskiem pies leżał, dotykając niemal łapami śpiącego kota i wtórował swym głębokim oddechem jego mruczeniu.

Od czasu do czasu, na łóżku, ukrytem w głębi alkowy, materac zaskrzypiał pod nagłym poruszeniem się uspiętej pary małżeńskie, zmiażdżonej zmęczeniem.

Ludzie i zwierzęta, po ciężkiej pracy odpoczywali, pogrążeni w śnie i niepamięci.

Nagle nieuchwytny hałas przerwał monotonię nocy. Kot ziewnął. Pies zastrzygł uchem, a płomień knota, przesiąkniętego oliwą, strzelił ku belkom.

Tylko rozpostarta ręka gospodarza domu, znacząc się ciemną plamą na bieli prześcieradła, nie poruszyła się.

Hałas ponowił się. Skąd pochodził? Z pod stołu? Od skrzyni z mąką? Od beczki z solą? Jakieś ogryzanie, skrobanie, drapanie niespokojne. Hałas, niepodobny ani do szmeru myszy, wymykającej się ze swej norki, ani do szelestu nocnego ptaka, muskającego skrzydłem zamknięte okiennice lub chrzęstu zabłąkanego łisa, szukającego szpary w murze dla wycieczki na hulanke. Hałas ten zbliżony był raczej do dźwięku miedzi, czy blachy, albo brzęku fajansu lub szkła. Tak dziwny przytem, że kot przeciągnął się, nastawivszy sierść od głowy do łędwi, a pies otworzył oko i prychnął. Wyprostował łapy, wsparł się na paznogiach, podciągnął leniwie tył ku brzuchowi i zrobił kilka kroków cicho, obwąchując ciepłe tafle posadzki, gorący popiół oraz śpiącego ponownie kota.

Znowu ten sam hałas.

Pies odskoczył wtył, pokazując żółte zęby z pod podniesionych warg, szczeknął zlekka.

— Cicho! — skarcił go gospodarz przez sen.

Pies, z wygiętym grzbietem podreptał w stronę kija, sterczącego w kącie pokoju i nagle cofnął się od stojącego przy ścianie kredensu, sapiąc głośno. Jednocześnie przysiadł na tylnych łapach, bijąc podłogę oraz raz po raz ogonem.

Hałas ucichł tymczasem.

Pies węszył przez chwilę w powietrzu, otworzył pysk i zawył żałośnie. Kot drgnął i spuściwszy ogon, zaczął prychnać.

Jedno i drugie zwierzę teraz, z wygiętym ze strachu grzbietem, robiło w pokoju cichy i bezładny zgiełk.

Jan Le Clech, fornał w Pergarvan, prze wrócił się na wznak na posłaniu i rzucił rękoma w powietrzu. Nie bacząc na to

zwierzęta zachowywały się w dalszym ciągu niespokojnie.

— Co się stało? — zapytał drżący głos z głębi alkowy.

Jan Le Clech usiadł na łóżku i z szyją wyciągniętą w stronę zwierząt, mruknął:

— Bóg z tobą, Noela! Czy ja wiem?

— Cicho tam! — zawołał, machając ręką ku ślepiom psa i kota, błyszczącym zdaleka.

Usłyszawszy, że pies wrócił na swoje miejsce, niezdecydowanym ruchem upuścił na ziemię stare pantofle, które trzymał w ręku, walcząc między zaniepokojeniem a nieprzewyciężonym lenistwem.

— Na śmierć wyje... Ktoś umrze... bełkotała Noela.

Jan drgnął.

— Nie -- odparł po chwili — to kobold tańczy na wydnie.

Z otwartymi oczami, leżąc, przyglądali się jakiś czas lampce nocnej, której światło walczyło z bladym światem, zagładającym przez szpary okiennic, poczem sen zmorzył ich znowu.

Ranek, podczas kiedy Jan zaciskał pas rzemienny wokół bioder, żona jego, wkładając siatkę na głowę odezwała się stanowczym tonem:

— Ktoś umrze dzisiaj!... ani chybi!...

Otworzyli drzwi. Ostry wiatr wtargnął wraz z światłem do pokoju. Piaszczysta wydma bielila się szronem w oddali.

Jan, przeżegnawszy się, zapiał kamizelkę, poprawił czapkę i wyszedł. Wspomnienie nocy dręczyło go. Pies szczeknął. Jan poglądził go machinalnie po głowie i zwierzę zwiesivszy język pomknęło ku stadiu kruków.

Farmer poszedł na podwórze i z czołem spuszczoneм zabrał się do roboty, bez zapału.

Podczas południowego posiłku, jedząc żur z czarnego żyta uderzał uporczywie ręką o stół, aż żona chwyciła go za ramię.

— Przestań! Denerwujesz mnie...

Wzruszył ramionami, nie odpowiadając. Odrącił tylko talerz tak gwałtownie, że pękł na dwoje.

Zmieszany, pokazując żonie szkodę, szepnął:

„Boże, bądź miłościw!...

Poczem, wstał od stołu i wyszedł, zgarbiony, z rękoma na kolanach.

— Pod twoją obronę... — jęknęła Noela ze złożonymi do modlitwy dłońmi.

Ku wieczorowi, Jan, mijając drzwi domu krokiem ociężałym, bąknął niewyraźnie:

— Idę po worek owsa...

Noela, dotknawszy palcami warg, przesłała mu pocałunek w milczeniu.

W godzinę potem, znalazła go wiszącego w stodole, z szyją w pętli sznura.

zwieszającego się z pułapu i workiem owsa pod nogami.. Drabina ze złamanym szczeblem leżała obok wpoprzek wiązki słomy.

Noela uklekała przy trupie i ujawszy w rękę jeden z chodaków nieboszczyka ucałowała go tkliwie, poczem zerwawszy się na równe nogi, pobiegła lotem strzały ku pobliskiej wiosce, krzycząc wniebogłosy:

— Kobold!... Kobold!...

Nazajutrz zrana przyprowadzono ją do domu zziębniętą, nawpół nieprzytomną, z oczami z orbit wysadzonymi. Krewni, kumowie i znajomi nieboszczyka tłoczyli się już w pokoju, macąc jego ciszę gwarem.

Wdowa stała przy zwłokach, patrząc szklany wzrokiem na męża i trzęsąc głową powtarzała bezdźwięcznym, monotonnym głosem:

„Pies wył na śmierć w nocy...“ i t. d.

Nie słyszała słów pociechy z ust pochylonego nad nią kapłana, pytał burmistrza, odpowiedzi żandarmów, dowodzących śmierci z wypadku. „Nieboszczyk zrobił niefortunny ruch... „drabina była nadpróchniała“... Szcebel złamał się... „Farmer padając, zawadził głową o pętlę sznura, zwisającego z pułapu“... Sprawa prosta“ — meldował starszy.

Okliwy zapach uderzył nagle nozdrza zebranych. Burmistrz podszedł do okna i otworzył je naoścież. Pies jednocześnie zawył przeciągle. Ludzie strwożeni, mimo biały dzień, zwarli się w gromadkę, a podoficer żandarmerji położył rękę na futerale rewolweru.

Pies zbliwszy się do kredensu wył bezustannie.

Jeden ze śmielszych widzów szarpnął drzwi mebla. Pies wskoczył doń jednym susem, węsząc, tłukąc naczyńia i skomląc.

Starszy żandarm, śledzący zwierzę uważnie, wyciągnął je po chwili za obrozę z kredensu, sam zaś wydobył dużą blaszaną puszkę z nawpół uchyloną przez psa pokrywą. Burmistrz nachylił się nad nią, zamierzając zajrzeć do środka, cofnął się jednakże natychmiast z odrazą: na dnie naczyńia bowiem leżał nieżywy i dobrze już cuchnący szczur.

— Do diabła! — zaklął starszy żandarm, rzucając puszkę — Piszemy protokół, panowie!

Niebawem krewni nieboszczyka podpisali urzędowy akt zejścia, podczas kiedy Noela, obojętna na wszystko, trzęsąc głową, zawodziła bezdźwięcznym głosem w kółko:

„Pies wył na śmierć w nocy“...

„Kobold tańczył po wydnie“...

„Ktoś musiał umrzeć... Mój... o zmierzchu... zmarł...“

Tłum. Jotsaw.



Łódź w ilustracji

DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

ROK VI.

Niedziela, dnia 6 października 1929 r.

Nr. 40.

„Grube ryby” w Teatrze Kameralnym.



W dniu 1 b. m. Teatr Kameralny w Łodzi wystąpił już z trzecią z rzędu premierą w sezonie bieżącym, wystawiając „Grube ryby“ — komedię M. Bałuckiego z występem gościnnym mistrza sceny polskiej, niezrównanego artysty p. Mieczysława Frenkla, który w popisowej roli Wistowskiego kapitałną swą grą porывwał i czarował widzów.

Na zdjęciu powyższem widzimy fragment jednego z aktów komedii wraz z grupą artystów z p. Mieczysławem Frenklem na czele.

Fot. A. Meyer.